

Bradley Manning – Człowiek Roku

25 czerwca 2013

Wiadomość o rozpoczęciu procesu Bradleya Manninga przemknęła w polskich mediach niemal niezauważona. Amerykańskiemu żołnierzowi, który kilka lat temu za pośrednictwem „WikiLeaks” upublicznił setki tysięcy dokumentów dotyczących haniebnych działań Waszyngtonu w ramach „nieograniczonej wojny z terroryzmem”, zbrojnych agresji czy po prostu imperialnej polityki zagranicznej grozi dożywocie. Dręczony i torturowany całymi miesiącami Manning oskarżany jest bowiem o „pomoc wrogowi”. Według amerykańskiej prokuratury tak się teraz nazywa wyciąganie na światło dzienne niegodziwości rządzących. To niewątpliwie ważna wiadomość dla dziennikarzy, a w każdym razie tej ich części, która tak właśnie definiuje swe posłannictwo. Niestety grupa ta maleje w zastraszającym tempie i właśnie ów fakt mówi sporo o okolicznościach czynu Manninga. W ciągu kilkunastu ostatnich lat wielkie media wyrzekły się swej krytycznej roli. Działalność ich pracowników w niczym nie przypomina pracy reporterów, którzy ujawnili brzydką prawdę o wojnie wietnamskiej w latach 1960. i 1970. czy o amerykańskim zaangażowaniu po stronie ludobójczych reżimów w Salwadorze i Gwatemali w latach 1980. Od czasu propagandowych relacji z ataku na Grenadę w 1983 r. i pierwszej wojny w Zatoce, której obraz wykreowano w studiach CNN, zachodnie media zawarły podwójny pakt z diabłem. Po pierwsze korespondenci wojenni pozwolili sobie narzucić kuratelę wojskowych de facto stając się propagandowym ramieniem armii. Efekty możemy oglądać w relacjach z Afganistanu, Iraku czy Strefy Gazy, które gdyby nie aktywiści z kamerami w telefonach komórkowych, wyglądałyby na pierwsze w historii wojny bez krwi, cierpienia i trupów. Co więcej, pod pretekstem mglistych wymogów „bezpieczeństwa narodowego” rządy zaczęły gwałtownie rozszerzać sferę tajności działań państwa (jednocześnie na masową skalę odtajniasz

prywatność obywateli przez poddanie ich nieustannej inwigilacji m.in. za pośrednictwem systemów kamer). Tylko w Stanach liczba tajnych dokumentów wzrosła z 5,6 mln w 1996 r. do 54,6 mln w 2009 r.

Po drugie, media praktycznie utraciły niezależność. W ciągu minionych dwóch dekad dostały się w ręce wielkich grup kapitałowych (zawsze bliskich elitom politycznym), których zarządy zainteresowane są wyłącznie podnoszeniem tzw. wartości dla akcjonariusza wyciskanej kosztem wydatków na wyjazdy reporterów, pracę korespondentów, zatrudnianie redaktorów i korektorów, czyli po prostu dziennikarstwo z prawdziwego zdarzenia. Standaryzacja i banalizacja informacji spowodowana tym procesem podcina skrzydła prasie papierowej bardziej niż fetyszyzowane nowe technologie informacyjne. Otwiera to rzecz jasna drogę nowym mediom zaangażowanym czy społecznościowym, oraz posługującym się nimi aktywistom, takim jak twórcy WikiLeaks i Bradley Manning. Sojusz władzy i korporacji medialnych wystawia ich jednak na wielkie niebezpieczeństwo.

Wyzwanie, które rzucają możliwym tego świata czyni z nich prawdziwych bohaterów wolnego słowa, ale nie zapewnia solidarności ze strony głównych mediów. Te o wolności przypominają sobie tylko wówczas gdy trzeba skarcić jakiś kraj, który wymknął się Zachodowi spod kontroli, albo gdy ktoś próbuje ograniczyć ich wpływy z reklam.

Dlatego właśnie to Manning stoi przed sądem, czego nie można powiedzieć o wielu amerykańskich żołnierzach z Iraku i Afganistanu oskarżanych o popełnienie zbrodni wojennych... i wciąż cieszących się bezkarnością.

Bardzo symptomatyczne, że dla polskich mediów bohaterem jest niejaki sierżant Żebryk nasyłający prokuraturę na ludzi, którzy w Internecie ośmielają się w niewybredny sposób krytykować polski udział w agresywnej wojnie i okupacji w Afganistanie. Symptomatyczne jest także to, że „Gazeta Wyborcza” niemalże w tym samym czasie z wielką pompą przyznała

swoją nagrodę Człowieka Roku Yoani Sanchez – kubańskiej dziennikarce i blogerce objeżdżającej świat w roli twarzy antycastrowskiej opozycji. Pani Sanchez nikt nie torturował, a jej rząd nie prowadzi żadnej imperialnej wojny kilka tysięcy kilometrów od swych granic. Być może dlatego idącej w stronę tabloidu „Gazecie” łatwiej, a przy okazji bezpieczniejszej i taniej (bo bicie leżącego nic nie kosztuje) solidaryzować się z właśnie z nią, a nie z Bradleyem Manningiem. W końcu amerykański żołnierz nierozsądnie naraził się rządowi największego mocarstwa, a nie ciągnącemu resztką sił, osamotnionemu reżimowi. Manning nie zasłużył na solidarność, bo zadarł z naszym Wielkim Bratem, który tylko w ciągu ostatnich 12 lat odpowiada za rozpętanie kilku wojen (Afganistan, Irak, pogranicze Pakistanu), wsparcie agresywnych działań swych sojuszników (Izrael w Libanie i Palestynie, NATO w Libii, Arabia Saudyjska w Bahrajnie, Kolumbia we własnym interiorze) oraz popieranie prawicowych zamachów stanu (Honduras, Wenezuela, Haiti).

Jak widać, „Gazeta” której nie jest wszystko jedno, i pewnie dlatego udostępnia swoją powierzchnię reklamową producentowi samolotów F-16, zdecydowanie woli szukać żdźbła w cudzym oku niż zauważyć belkę we własnym.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)